

Etatyzm nieśmiałych frajerów

2 lutego 2009

To dobrze, że państwo wspiera prywatne firmy w kryzysie. Żle, że nic z tego nie ma(my).

Kryzys gospodarczy ma, a raczej mógłby mieć, oprócz kosztów społecznych, także pozytywne skutki. W przypadku obecnego załamania ekonomicznego nie będzie jednak zapewne tak dobrze, jak mogłoby być. Widać już, że jedyne, na co możemy liczyć, to eskalacja zjawiska, które Noam Chomsky już kilkanaście lat temu nazwał „prywatyzacją zysków i uspołecznieniem kosztów”. Na takim mechanizmie bazuje cała praktyka neoliberalizmu – coraz mniejsza garstka zgarnia coraz większe zyski, natomiast społeczne koszty jej działalności spadają na państwo, a wręcz – wskutek jego demontażu – na nas samych. Bogaci płacą coraz niższe podatki, duże firmy otrzymują wieloletnie ulgi fiskalne, zmniejsza się ich partycypacja w finansowaniu usług publicznych. Samo państwo czyni oszczędności nie na zbrojeniach (ktoś musi przecież dokonywać „misji stabilizacyjnych”, czyli zapewniać koncernom dostęp do tanich surowców w zapalnych regionach świata i gwarantować nowe rynki zbytu), nie na „wspieraniu prywatnej przedsiębiorczości”, lecz na publicznej służbie zdrowia, edukacji, systemie emerytalno-rentowym czy tej części infrastruktury, która służy zwykłym obywatelom, nie zaś globalnym komiwojażerom. Dlaczego gros nakładów na budowę i remonty dróg dotyczy autostrad, tras szybkiego ruchu czy transgranicznych „korytarzy transportowych” itp., nie zaś rozsypujących się i dziurawych dróg na prowincji? Ano dlatego.

To budżet, czyli my wszyscy ponosimy skutki – również finansowe – działań wielkiego biznesu: opłacamy leczenie chorób dróg oddechowych osób zamieszkałych przy trasach, którymi pędzą tiry wypchane towarami albo płacimy za wysiedlenia mieszkańców okolic, które ktoś upatrzył sobie na lokalizację centrum handlowego. Coraz częściej zresztą odmawia

się nam prawa do sfinansowania tego z budżetu – płacić mamy i podatki, i dodatkowe haracze. A to przymusowe, jak opłaty za służbę zdrowia czy edukację, a to takie, które wymuszane są szantażami moralnymi: jeśli nie dacie grosza Owsiakowi, to więcej osób umrze w szpitalach wyposażonych ostatnio w latach 60.; jeśli nie kupicie świeczki Caritasu, to bezrobotni nie dostaną zupy; jeśli nie klikniecie w „Pajacyka”, to dzieci z bieszczadzskich wsi nie otrzymają szkolnej wyprawki.

Nawiasem mówiąc, śmiech pusty mnie ogarnia, gdy słyszę wywody, że powrócił XIX-wieczny kapitalizm. W moim rodzinnym mieście XIX-wieczny kapitalista, właściciel potężnych wówczas zakładów bawełnianych, za część swego zysku wybudował z własnej nieprzymuszonej woli nowoczesne wtedy robotnicze osiedle, zajmujące 1/3 obszaru ówczesnego miasta, z łaźnią, domem ludowym, szkołą, parkiem i tanią jadłodajnią, stadionem i siedzibą klubu sportowego, a w środku tegoż osiedla sam zamieszkał w „pałacyku” wielkości dzisiejszej willi kogoś, kto produkuje uszczelki lub plastikowe wiaderka. A teraz pokażcie mi w Polsce robotnicze osiedle wybudowane w ostatnich dwóch dekadach przez Procter & Gamble, Dell, General Motors czy Auchan. Albo menedżera, który mieszka wśród szeregowych pracowników swojej firmy.

Dzisiejszy kryzys gospodarczy jest taki, jak zwykle. Państwo, czyli budżet, czyli my – finansujemy miękkie lądowanie wielkiego biznesu. Tak było zawsze i nie ma nad czym rozdzierać szat. Tzw. wolny rynek w postaci, którą wychwalają dziarscy chłopcy z UPR-u i podobnych sekt, istniał ostatnio na większą skalę we wczesnym średniowieczu – później były już tylko rozmaite formy interwencjonizmu państwowego, bez których prywatny biznes nigdy nie rozwinąłby skrzydeł. Nie musiał to być interwencjonizm typowo gospodarczy – bo wspomniany przykład przemysłowca z mego miasta pokazuje, że i bez niego można na krótką metę robić wielkie pieniądze – jednak jakiś być musiał. Wystarczyło, że zamiast dotacji do przemysłu rząd Jej Królewskiej Mości finansował sprawne kanonierki, które

zapewniały brytyjskiej burżuazji „wolny handel” w połowie świata. Bez państwowych armat koszty produkcji i sprzedaży prywatnego masła nie pozwoliłyby zbilansować działalności gospodarczej tak, by wyjść na swoje – i mowa właśnie o dużym biznesie, bo ten działający w skali miasta czy regionu poradziłby sobie jeśli nie bez taniego policjanta, to na pewno bez drogich kanonierek.

Dlatego też nie ma sensu ronić łez nad tym, że państwo w okresie kryzysu jeszcze bardziej wspiera biznes i ratuje mu skórę. Dziś nie tylko nieliczni uczciwi liberałowie, ale także rozmaite środowiska prospołeczne lamentują, że miliony złotych, funtów i dolarów trafiają do na poły zbankrutowanych mędrków, którzy do niedawna uważali, że dzień bez pomstowania na wydatki publiczne jest dniem straconym. Rozumiem, że to musi budzić krytykę, żal czy wręcz wściekłość – gdy „obrońcy podatników” przed „rozдутym państwem” beczelnie żądają od tegoż państwa i podatników ogromnych dotacji na ratowanie swoich nierentownych biznesów. Niestety, problem ten przypomina kwadraturę koła. Oczywiście niemoralne jest wspieranie takich przedsięwzięć i ich pyszałkowatych właścicieli, ale jednocześnie nie sposób nie zauważyć, że z ich losami powiązane są losy milionów „szarych ludzi”. Wszelki radykalizm – także ten spod znaku wezwań „ani grosza dla wielkiej finansjery” – ma to do siebie, że świetnie wygląda na papierze, ale w tych wszystkich obrzydliwych wielkich koncernach pracują nasi koledzy, rodziny, znajomi czy wręcz my sami. Problemem nie jest to, że wielki biznes otrzymuje w obliczu kryzysu koło ratunkowe sfinansowane z budżetu. Problem tkwi w tym, że podczas obecnego kryzysu dotacjom nie towarzyszy zmiana filozofii dotyczącej roli państwa.

O ile wielki kryzys przełomu lat 20. i 30. zaowocował zmianą całego paradygmatu gospodarczego i pociągnął za sobą przeobrażenia w polityce państwa, o tyle dziś budżet jest ogoławany przez pogrążone w zapaści prywatne koncerny, które nadal są prywatnymi koncernami, a ich szefowie i finansowani

przez nich propagandyści z rozmaitych neoliberalnych think tanków wciąż nadymają policzki i bez umiaru raczą nas swymi mądrościami. Nie dziwię się więc głosom tych, którzy uważają, że kilku facetów z Wall Street i City oraz ich kamerdynerów ze szkoły Milтона Friedmana należałoby raczej dożywotnio zamknąć w ciasnej celi niż wspierać z budżetu. Dzisiejszy kryzys ma bowiem niestety to do siebie, że nie skutkuje żadnymi przemianami ideowymi i systemowymi. Owszem, ktoś tam ponarzeka na niestabilny i ryzykogeny „światowy system finansów”, ktoś zażąda, aby dotowane koncerny raczej ograniczyły zarobki menedżerów niż wyrzuciły na bruk tysiące pracowników, ale poziom refleksji nad zbankrutowanym liberalnym kapitalizmem to popłuczyny po krytyce, jakiej poddano go na przełomie drugiej i trzeciej dekady XX wieku. I to nie tej ze strony „ekstremistów”, „populistów” i „nieodpowiedzialnych krzykaczy”, lecz padającej z ust czołowych przywódców i autorytetów naukowych ówczesnego świata.

Mógłbym tu zacytować nie pozostawiające suchej nitki na liberalnym kapitalizmie wypowiedzi Franklina Delano Roosevelta czy Eugeniusza Kwiatkowskiego, ale zostawię je sobie na inną okazję. Bardziej wymowne, bo odnoszące się do sfery praktyki, wydają mi się dwa przykłady polityki państwa w reakcji na kryzys gospodarczy i nieodpowiedzialne poczynania wielkiego kapitału. Dobrych wzorców nigdy dość.

Pierwszym ciekawym przykładem jest tzw. afera żyrardowska. W Żyrardowie wybudowano w XIX w. wielkie zakłady tkackie, rozwijane przez kolejne dekady do tego stopnia, że tuż przed wybuchem I wojny światowej były największym przedsiębiorstwem tekstylnym na ziemiach zaboru rosyjskiego oraz największym w Europie producentem wyrobów lnianych, cenionym i renomowanym w wielu krajach. Po wojnie szybko odbudowano potencjał produkcyjny fabryki. W 1923 r. zakłady sprzedano francuskiemu konsorcjum. „Inwestor zagraniczny” skorzystał ze sposobności – zaczął prowadzić rabunkową gospodarkę, znacząco zmniejszył zatrudnienie, wykazywał fikcyjne straty, aby uniknąć płacenia

podatków, zyski transferował zagranicę, a renomowaną marką sygnował tandetę wyprodukowaną diabli wiedzą gdzie. Zapaść przeżyła nie tylko fabryka, ale także całe miasto, którego dotychczas była sercem. Doszło do konfliktu władz lokalnych z przedsiębiorcą, sprawa stała się głośna w całej Polsce, do Sejmu i władz państwa wpływały odezwy zwracające uwagę na ten problem. Gdy do skutków polityki Francuzów doszły efekty kryzysu gospodarczego, opinia publiczna naciskała na decydentów coraz mocniej. W 1934 r. państwo polskie angażuje się w rozwiązanie problemu – dzieje się to na szczeblu międzynarodowym i owocuje nadwerżeniem stosunków z Francją, nie obywa się bez procesów sądowych, ale po dwóch latach przynosi efekt w postaci de facto nacjonalizacji fabryki, której właścicielem zostaje Państwowy Bank Rolny. Od 1936 r. zakłady dźwigają się z upadku, rośnie produkcja i zatrudnienie, miasto ożywa.

Jeszcze bardziej ciekawy, bo nie mający podłoża prokuratorsko-aferyalnego, jest przypadek przejęcia przez państwo łódzkich zakładów włókienniczych Scheiblera-Grohmana. Była to nie tylko ogromna fabryka znana w całej Polsce i Europie, ale niemalże symbol przemysłowej Łodzi, miasta, które powstało właśnie wokół tej i kilku podobnych inwestycji – o imperium Scheiblera mawiano, że to „miasto w mieście”, bo zajmowało 50 hektarów, 1/7 powierzchni drugiego pod względem wielkości ośrodka municypalnego ówczesnej Polski. Socjalista Władysław Broniewski w wierszu o Mieście Włókniarzy, pisał: „Tuczą się Łodzią tłuste Scheiblerzy...”. Gdy jednak fabryka podupadła wskutek kryzysu gospodarczego, utraciła zdolność kredytową, a zadłużenie wobec skarbu państwa sprawiło, że zarząd nad firmą przejął w 1934 r. państwowy Bank Gospodarstwa Krajowego. Stefan Bratkowski określił „reanimację” tych zakładów pod państwową kontrolą „najbardziej pouczającym polskim doświadczeniem” tego typu.

Takich przykładów było w okresie pokryzysowym lat 30. znacznie więcej – z bardziej znanych można wspomnieć jeszcze objęcie

przez państwo większościowych udziałów w śląskiej Hucie „Pokój” (6 tys. pracowników) czy koncernie „Wspólnota Interesów Górniczo-Hutniczych” (łącznie 27 tys. zatrudnionych). Bez trudu znajdziemy wiele podobnych przykładów z owej epoki w większości rozwiniętych krajów świata. Pokazują one, jak ogromna różnica dzieli dzisiejsze finansowanie lekką rączką upadłych aniołów liberalnego kapitalizmu od ówczesnego przejmowania przez państwo odpowiedzialności za losy obywateli i substancję przemysłową.

Dziś państwo powinno jedną ręką wesprzeć przedsiębiorstwa znajdujące się w kryzysie, a drugą rękę zacisnąć na gardle tych, którzy doprowadzili je do takiego stanu. Bo jeśli ręce z gotówką nie będzie towarzyszyła zaciśnięta pięść, wówczas gdy tylko wielki biznes za nasze pieniądze znów stanie na nogach, zaciśnie na nas swoją neoliberalną pięść. A słabe i bezbronne państwo będzie musiało ponownie „stwarzać przyjazne otoczenie dla inwestorów” – aż do kolejnego kryzysu.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)